

Obywatel Wielkiego Księstwa

TOMASZ FIAŁKOWSKI

**Marzyciel i państwowiec.
Twórca Ośrodka Studiów
Wschodnich. Dobry i serdeczny
człowiek. Przyjaciel.**

Z MARŁ DWIE DEKADY TEMU, W CHWILI śmierci miał 52 lata. Śmierć przyszła niespodziewanie, gdy Marek Karp docho- dził w szpitalu do siebie po strasliwym wypadku – miesiąc wcześniej ciężarówka uderzyła w tył jego samochodu, wpycha- jąc go pod inną ciężarówkę jadącą z prze- ciwka. Do dziś mówi się o zamachu, choć niczego nie udowodniono, tyle że winny wypadku Białorusin wyjechał wkrótce za granicę i nigdy się już nie odnalazł.

Czy białoruskie bądź rosyjskie służby miały powód, by chcieć zabić Marka Karpia? To właśnie on wymyślił i stwo-

rzył istniejący do dziś Ośrodek Studiów Wschodnich, najpoważniejszą tego typu instytucję w naszej części Europy. Jak wielkie ma znaczenie – zwłaszcza dzisiaj nie trzeba chyba przekonywać. Marek, historyk, wspaniały erudyta, nie napisał nigdy planowanego doktoratu o wileń- skich „krajowcach”, nie wydał też żad- nej książki. OSW pozostał głównym jego dziełem. Jego dzieckiem.

OBRAZ W PAMIĘCI | „Zmierzyć arsyznem” Andrzeja Brzezieckiego to potężny tom poświęcony dziejom Ośrodka – powołał go do życia w grudniu 1990 r. premier Tadeusz Mazowiecki – i biografii jego założyciela. Wciągająca opowieść o jed- nym z rozdziałów epoki burzy i naporu III Rzeczypospolitej, o budowaniu od podstaw nowoczesnej placówki anali- tycznej, przez którą przewinęły się dzie- siątki badawczych indywidualności, i która ukształtowała takich polityków jak Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz czy Ja- cek Cichocki (w 2003 r. następca Kar- pia). Opowieść o walce o niezależność od zmieniających się układów politycz- nych lat 90. XX w. Oraz o Marku Karpiu, dziwnym pasjonacie, prawdziwym pań- stwowcu, którego ideą stworzenia takiej instytucji zaraził poznany w Londynie jeszcze za czasów Peerelu Stanisław Swianiewicz – autor słynnej książki „W cieniu Katynia”, a w latach 30. XX w. współtwórca polskiej sowietologii i wileńskiego Instytutu Naukowo-Bada- czego Europy Wschodniej.

Opowieść wciąga, a ja mam z nią kło- pot – bo muszę w sobie godzić ten książ- kowy wizerunek, niemal pomnik (za-

sługi Marka Karpia są ogromne i niepod- ważalne, niezależnie od zarzutów, jakie wobec niego wysuwano w ostatnim roku jego życia) z obrazem, jaki noszę w swo- jej pamięci – ciepłego, serdecznego towa- rzysza podróży po Polsce, niezrównanego gawędziarza i przewodnika. Zdawałoby się fantasty, któremu jednak najdziwniej- sze wizje udawało się realizować. Jednego z ostatnich obywateli Rzeczypospolitej Obojga Narodów, a ściślej – Wielkiego Księstwa Litewskiego.

PRZYGODA PRZYJAŹNI | Moją znajomość z Markiem poprzedziła anegdota. Gru- dzień 1981 r., dzień po wprowadzeniu stanu wojennego, w drzwiach mieszka- nia wspólnego znajomego, którego wła- śnie internowano, pojawia się Marek... z wielkim pętem wiejskiej kielbasy. On po prostu czuł, że musi jakoś zareagować – a tak praktyczna i konkretna reakcja była wtedy, w czasie karetek i niedoboru wszyst- kiego, całkiem sensowna. To dzięki Dan- kowi Kalbarczykowi, bohaterowi tej hi- storyjki, związanemu wtedy z podziemną „ResPubliką”, poznałem kilka lat później Marka. I zaczęła się przygoda przyjaźni, przygoda wspólnego poznawania Polski.

Podczas studiów historii sztuki obwo- zono nas po Małopolsce, Dolnym Śląsku, Wielkopolsce i Lubelszczyźnie, znałem też Pomorze Gdańskie – ale Mazowsze i Podlasie to już Marek. Zamek w Liwie, Krasne z grobami Krasińskich, zrujno- wany wtedy pałac nad Narwią, znany z li- stów Norwida słanych do „pani na Kor- czewie”. Drohiczyn – barok na wysokim brzegu Bugu. Cerkiew i kościół w Kod- niu. Pratulin, gdzie żołnierze rosyjscy za-

Z czasem także Azja Centralna stała się ulubionym celem wypraw Marka Karpia.





Marek Karp i Zbigniew Brzeziński w Ośrodku, 2001 r.



Andrzej Brzeziecki
ZMIERZYĆ ARSZYNEM.
MAREK KARP I OŚRODEK
STUDIÓW WSCHODNICH
Wyd. OSW
i Znak-Horyzont,
Kraków-Warszawa 2024

bili unitów niechających przejść na prawosławie.

Dalej: Kostomłoty – jedyna parafia neounicka, odtworzona w międzywojniu na terenie dawnego zaboru rosyjskiego, rządzona podczas naszej wizyty przez mariarina Romana Piętkę. Barokowy klasztor i kościół pielgrzymkowy w Leśnej Podlaskiej, po powstaniu styczniowym zabrany paulinom, przebudowany i oddany prawosławnym mniszkom, a w II RP odebrany z kolei mniszkom – zrzucono wtedy dodane podczas przebudowy cebulaste kopuły. I jeszcze runda wokół Puszczy Kampinoskiej szlakiem dworów, na ogół zrujnowanych – na jednym zawalił się właśnie dach i jego dni były wyraźnie policzone.

PRZESZŁOŚĆ OŻYWIONA | Były też dwie wycieczki na południe, przeze mnie przygotowane – musiałem niezłe przysiąc fałdów, by się przed Markiem nie skompromitować. Jedna prowadziła od Przemysła, przez Posadę Rybotycką (cerkiew murowana) i kolejne cerkwie drewniane po Duklę ze wspaniałym rokokowym grobowcem Amalii Mniszchówny. Druga – klasyka – obejmowała drewniane kościoły w Łopusznej, Harklowej, Dębnie i Grywałdzie, Frydman na Spiszu oraz Stary Sącz z klasztorem klarysek.

W Starym Sączu bardzo już byliśmy głodni, ale restaurację przy rynku wypełniali piwosze, żadnego wolnego stolika. Marek natychmiast odnalazł kierownika sali i po krótkiej wymianie zdań, a zapewne i banknotów, siedzieliśmy już w ustronnym, oddzielonym od piwoszów saloniku. Przeniesieni w inny świat i inny czas. Marek co chwila udawał, że takie przenosiny są możliwe, a swoimi opowieściami ożywiał przeszłość, rozdzielał

kolejne warstwy historycznego palimpsestu.

TAMTA WSPÓLNOTA | Bo też sam czuł się spadkobiercą szlacheckiej tradycji Wielkiego Księstwa, co mogło wydawać się snobizmem, ale nim nie było – to tkwiło gdzieś głębiej. „No, Giedroyciowie znaczyli na Litwie, ale przy Karpiach...” – miał powiedzieć Redaktor „Kultury”, gdy mu Marek przedstawiono. Rodzina była rzeczywiście wpływowa i rozgałęziona, a nazwisko robiło na Litwie wrażenie.

Przy czym Marek czuł się częścią tamtej dawnej, wielonarodowej i wielojęzycznej wspólnoty. Drukowaliśmy w miesięczniku „Znak”, gdzie wtedy pracowałem, jego rozmowę z historykiem Białorusi Jerzym Turonkiem – o trzech braciach Iwanowskich, z których Jerzy został politykiem polskim, Tadeusz/Tadas litewskim, a Waclaw białoruskim. Marek miał świetną bibliotekę wydawnictw emigracyjnych, cenił takich autorów jak Michał Kryspin Pawlikowski czy ks. Walerian Meysztowicz. Zbierał zwłaszcza pamiętniki.

Jako szef OSW wspierał Litwę niepodległą, a przy tym zawsze fascynowali go litewscy Polacy, którzy po 1920 r. opowiedzieli się po stronie nowego państwa. Jak prawnik Michał Römer, legionista i piłsudczyk, więzień Szczypiorna, a potem profesor i rektor Uniwersytetu Witolda Wielkiego w Kownie. Z właściwą sobie pasją – choć i nieco flegmatycznie, ale to się u Marka jakoś łączyło – opowiadał o wielotomowych dziennikach Römera, których wybór ukazał się nakładem „Karty” dopiero niedawno. Z Miłoszem, którego woził po Litwie, doskonale się rozumieli. Odejście Miłosza w sierpniu

2004 r. zbiegło się zresztą w czasie z wypadkiem Marka. A kiedy już po śmierci Marka rozmawiałem z synem poety, Antonim, był przekonany, że ten wypadek nie był przypadkowy...

DWÓR ODTWORZONY | Tradycje szlacheckie? Dwór na terenie dawnego Wielkiego Księstwa? Jakaś dziwna utopia? Nie, dla Marka nie było rzeczy niemożliwych. I on, i jego żona Ania mieli oszczędności dzięki wyjazdom do Anglii. Kupienie od państwa resztówki w Ludwinowie (ta ziemia należała kiedyś do Wielkiego Księstwa właśnie) stanowiło jednak dopiero początek drogi. Pomijając już fakt, że w parku wycięto wcześniej większość cennych drzew – dworu po prostu... nie było. Zbudowany z nietrwałych materiałów i pozbawiony dachu, rozsypał się. Marek odbudował go, trzymając się ściśle zachowanych planów, ale już w cegle. A potem urządził, pilnując każdego szczegółu. Brzeziecki pisze o starych piecach kaflowych sprowadzanych z Belgii; jakiś piec przyjechał chyba także z Krakowa, zdobyty dzięki Ucie Kalinowskiej, właścicielce sklepu z antykami przy Gołębiej.

Marek przyjaźnił się z Romanem Aftanazym (1914-2004) – historykiem z wrocławskiego Ossolineum, który przez wiele lat gromadził archiwalia dotyczące rezydencji i dworów w granicach I Rzeczypospolitej. Pierwsze wydanie jego monumentalnej monografii ukazało się w ograniczonym nakładzie w latach 80.; drugie, jako „Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej”, kilka lat później. I w ostatnim tomie drugiego wydania Aftanazy umieścił także Ludwinów, ze zdjęciami odbudowanego dworu i jego wnętrza zaaranżowanych przez Marka. Nie muszę dodawać, jak bardzo Marek był dumny. Nie wiedział, że przeżyje sędziwego autora zaledwie o trzy miesiące.

■■■

Połączenie funkcji szefa warszawskiego Ośrodka i dziedzica oddalonego o 200 kilometrów majątku (z założoną tymczasem fermą mleczną!) nie było na dłuższą metę możliwe. Realizacja marzenia miała słoną cenę, ostatni rok życia Marka Karpią był dramatyczny. Nie zasłużył sobie na to.

No i nigdy nie pojedziemy już do Wilna – a obiecywałeś! ©